

WILCZE  
DZIEDZICTWO:  
PRZEZNACZONA

W serii „Wilcze dziedzictwo” dotychczas ukazały się:

Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: cienie przeszłości

**Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: Przeznaczona**

**MAGDA PARUS**

**WILCZE  
DZIEDZICTWO:  
PRZEZNACZONA**



Agencja Wydawnicza  
**RUNA**

## WILCZE DZIEDZICTWO. PRZEZNACZONA

Copyright © by the Author, Warszawa 2008

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2008 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2008

ISBN: 978-83-89595-48-5

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

**[www.runa.pl](http://www.runa.pl)**

# ROZDZIAŁ I

Kiedy otworzyła drzwi, Colin zrozumiał, że każda decyzja, jaką podjął do tej pory, przybliżała go do niej o krok. Zapatrzył się na dziewczynę jak na niespotykane cudowne zjawisko, choć zarazem odnosił wrażenie, że doskonale zna każdy szczegół jej wyglądu.

Ona również wpatrywała się w Colina, jakby Alberto nie istniał – mimo że Włoch stał bliżej wejścia i zadawał jej pytanie, podczas gdy Colin po prostu biernie sterczał z tyłu.

– Panienko? – powtórzył odrobinę poirytowany Alberto.

Tylko on mógł we współczesnych czasach zwrócić się do dwudziestolatki per „panienko”. Dwudziestolatki. Colin nie pojmował, jakim sposobem ustalił jej wiek, ale z pewnością się nie mylił. Natychmiast też zastanowił się, czy nie wyda jej się za stary.

Dziewczyna spojrzała nieprzytomnie na pytającego, na co Włoch z politowaniem potrząsnął głową.

– Jesteś córką Antoine’a? – indagował. – Dobrze trafiłiśmy? Tak, tak, nie wątpię, że dobrze. Kiedyś przyjaźniliśmy się blisko z twoim ojcem, ale potem, bywa, nasze drogi się rozeszły, aż niedawno pomyślałem sobie, że

skoro zawędrowałem w te strony... Wiesz, sentymenty starych przyków, wszystko jeszcze przed tobą. Giacomo Pirelli – przedstawił się. – Jak te opony, ale nie łączy mnie z nimi najmniejsze pokrewieństwo, więc, niestety, nie dam ci kalendarza. – Z prędkością karabinu maszynowego wyrzucał z siebie mieszaninę francuskich i angielskich słów.

Dziewczyna zamrugała i popatrzyła na rozmówcę ze zdumieniem. Wydawało się, że z tej wypowiedzi przyswoiła niewiele poza informacją, że przybysz nie jest spokrewniony z oponami.

– Proszę? – zapytała po angielsku.

– Ach, porozumiewasz się w cywilizowanym języku! – ucieszył się teatralnie Alberto. – Obawiałem się, że, jak większość zabojadów, uznajesz wyłącznie rodzimą mowę.

Zmrużyła oczy. Należało Albertowi przyznać, że jeśli zechciał, w kilka sekund potrafił zrazić do siebie człowieka. No, w tym przypadku nie całkiem człowieka.

Colina ogarnęła na chwilę panika, czy przez nieuwagę nie zrzucił kamuflażu, jak mu się to zdarzyło w trakcie pierwszego po latach rozłąki spotkania z Emily. Jednakże siostrzyczka wyczuła jego drugą naturę dzięki swym nietypowym zdolnościom, a nie z powodu zaniedbania ze strony Colina. Maskował się odruchowo, zatem kamuflaż nie opadłby z niego tylko dlatego, że Colin ujrzał najpiękniejszą waderkę, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać.

Chociaż oddychał także odruchowo, a na jej widok...

Alberto powtórzył pytanie o Antoine'a, ale tym razem po angielsku. Mówił z silnym włoskim akcentem, znacznie wyraźniejszym niż ten, jakim posługiwał się

w rozmowach z Colinem. Zresztą w Valmorel Colin mógł się także przekonać, że znajomość francuskiego u jego towarzysza bynajmniej nie kuleje. Widocznie Giacomo Pirelli miał być włoski do bólu – aż by się go chciało opisać jako okrągłutkiego, niskiego faceta, przyrządzającego wyśmienity makaron.

Wprawdzie Alberto nie był ani zbyt szczupły, ani przesadnie wysoki, a nawet dorobił się już łysiny na czubku głowy, lecz mimo to w jego jowialnej włoskości à la właściciel pizzerii wychwytywało się fałsz. Zamierzony, Colin bowiem obejrzał dotąd kilka skrajnie różnych wcieleń Włocha i każde wypadło bardzo naturalnie. Czyżby Alberto starał się zasygnalizować, że w rzeczywistości nie jest ani trochę sympatyczny i lepiej z nim nie zadzierać? Mógł poczekać z tym pokazem do spotkania z Antoine'em.

Ona niewątpliwie wychwyciła fałsz w zachowaniu Włocha, Colina jednak raczej nie rozszyfrowała.

– Tin?! – zawołał ktoś z domu. Na tyle cicho, że nie zareagowała: przed obcymi ukrywała swe zdolności.

Skąd, u diabła, wadera znalazła się w domu łowcy? Czy ten cały Antoine wiedział, że jego córka przynależy do wrogiego obozu? Bardzo inteligentne pytanie, cholera. Czy zatem Antoine był świadomym? Wtyczką organizacji w środowisku łowców, jak w Ameryce Gordon, a po nim, przez krótki okres, Colin? A potem porzucił tę funkcję, żeby wychować dziecko?

Tyle że ona dawno przestała być dzieckiem. W tym wieku powinna sama pracować na rzecz organizacji, umożliwiając ojcu powrót do służby, w dawnej lub nowej roli. Poza tym, dlaczego Antoine nie nauczył jej kamuflażu? Czyżby w Europie panowały w tym względzie inne zwyczaje?

Colin ponownie zastanowił się nad ostatnią kwestią. W gruncie rzeczy za oceanem nie każdy znany mu świadomy się maskował. Tylko inny członek społeczności zdoła rozpoznać pobratymcę po zapachu, a przecież, przynajmniej oficjalnie, wszyscy tworzą jedną wielką zgodną rodzinę. Po co mieliby zatajać swą drugą naturę przed krewnymi?

Co innego, kiedy w grę wchodzi sprawy zawodowe. Członkowie straży – czy choćby wężyciele – maskują się, żeby nie zdenerwować tropionego nieświadomego, nawet jeśli wydaje się wątpliwe, by zerówka się zorientowała, czyją wyczuwa woń. A że często biorą udział w akcjach, ten zawodowy kamuflaż wchodzi im w nawyk. Zresztą nie każdemu udaje się w pełni ukryć woń identyfikującą go jako świadomego, przeważnie zostaje ona tylko wytłumiona. Tak czy owak, wyłącznie osobnik ukrywający się przed organizacją maskowałby się na gruncie prywatnym.

Dlaczego zatem Colina zdziwił jej brak kamuflażu? Jakby z góry przyjął, że ona się ukrywa. Czy raczej: że powinna się ukrywać.

– Tin? Kto przyszedł?

Tym razem pytanie rozbrzmiało na tyle głośno, że dziewczyna powinna na nie zareagować. Włoch je usłyszał. Ona jednak stała nieruchomo, wpatrzona w Colina.

Pachniała świeżym mlekiem z nutką dzikości. Niewinna i drapieżna zarazem. Bardzo silna alfa.

Oderwała wzrok od Colina dopiero, gdy za jej plecami pojawił się mężczyzna, niewątpliwie Antoine. Mimo że sprawiał wrażenie zmęczonego życiem, podstarzałego gościa, to wyczuwało się, że potrzebowałby zaledwie

tygodnia lub dwóch, żeby odzyskać swój normalny wygląd – budzącego respekt człowieka czynu.

Antoine odsunął dziewczynę na bok. Zdaniem Colina, zbyt bezpardonowo, niewykluczone jednak, że nawet gdyby Francuz poklepał ją po ramieniu pawim piórem i z ukłonem poprosił, by ustąpiła mu drogi, Colin odebrałby jego zachowanie jako obcesowe. Nie uznawał prawa Antoine'a do komenderowania dziewczyną. Czy zareagowałby tak, gdyby łowca faktycznie był jej ojcem? Facet nie nosił woni świadomego, a choć mógł się maskować z dawnego przyzwyczajenia, coś mówiło Colinowi, że stoi przed nim człowiek.

– Co tu robisz? – warknął Francuz, utkwivszy wściekłe spojrzenie w Albercie.

– Antoine! Jak miło zastać cię w dobrym zdrowiu! Giacomo Pirelli! Nie poznałeś? Oczywiście, że nie, przecież mnie nie witałbyś w taki sposób! No? Giacomo! Pirelli! Mediolan? Jak w pysk strzelił, dwadzieścia lat temu? Ej, kolego, nie odjadę, dopóki nie przyznasz, że mnie z kimś pomyliłeś!

Alberto nadal wykrzykiwał kolejne zdania tak, jakby szły seriami z karabinu. Przy czym ewidentnie zależało mu na takim skojarzeniu: dawał Francuzowi do zrozumienia, że ten łatwo się go nie pozbędzie. A wręcz oberwie po pysku – nawet to banalne sformułowanie kryło drugie dno – jeśli odważy się spróbować.

Przesłanie Włocha zostało odczytane prawidłowo. Gospodarz dyskretnie omiótł spojrzeniem okolicę. Teoretycznie dom, stojący z dala od innych zabudowań, otoczony półtorametrowej wysokości murem z kamienia, wzdłuż którego posadzono tuje oraz inne zielenie, wydawał się dobrze osłonięty przed

ewentualnymi wścibskimi spojrzeniami, jednakże Antoine raczej nie zdołałby dyskretnie zastrzelić i zakopać w ogródku obu przybyłych, pomijając już kwestię, czy popełniłby mord na oczach córki. A tylko tak zdołałby się pozbyć Alberta sprzed swych drzwi.

– Wejdźcie – warknął.

– Zaszło mi w gardle po podróży – zakomunikował Włoch meblom w salonie, do którego radośnie wkroczył jako pierwszy. – Masz może piwo w lodówce? – Obejrzał się na Antoine’a. – Och, czy popełniłem *faux pas*? Pewnie jako winnicznik... tak się mówi? No więc masz, winniczniku, piwo, czy też sfrancuziałeś do tego stopnia...?

– Jestem Francuzem – gniewnie wpadł mu słowo Antoine. – Gdybyś zapomniał. – Ostentacyjnie rozsiadł się w fotelu, dając do zrozumienia, że nie zamierza niczym częstować intruzów.

– Panienko? – Alberto spojrzał na dziewczynę, która bezwiednie przywędrowała za nimi. – Wnioskuje, że w kwestii zimnych napojów...

– Tin! – Francuz poderwał się z fotela. – Wracaj już do pracy. Mam z panami kilka spraw do omówienia. Zadzwoń przed szóstą.

Wydał jej rozkaz w najczystszej postaci. Colinowi poczerwieniało przed oczami na myśl, że plugawy łowca traktuje tę piękną waderkę jak swoją sukę. Zacisnął pięści, bliski urządzenia jatki.

Zreflektował się, dostrzegłszy na twarzy dziewczyny przelotny wyraz paniki. Jakimś sposobem miał pewność, że to nie słów Antoine’a tak się przestraszyła.

– *Au revoir* – rzuciła miękko, omijając wzrokiem Colina, po czym natychmiast się ulotniła.

Odniósł wrażenie, jakby wręcz prosiła go o zachowanie rozsądku. Bała się o Antoine'a. Psiakrew, Colin nie chciał, żeby myślała o nim jako o porywczym typie, który zagraża spokojowi jej domu. Gwałtownie usiadł na sofie, opierając łokcie na kolanach.

- Wpadła chłopakowi w oko ta twoja ślicznotka - rzucił Alberto, nie kryjąc irytacji.

- Ani się waż ponownie na nią spojrzeć! - zaatakował Colina gospodarz. - Moja córka nigdy nie zwiąże się z łowcą!

Antoine bał się, że któryś z intruzów odkryje drugą naturę Tin. Przeciętny łowca zareagowałby na tego rodzaju rewelację tylko w jeden sposób. Dlatego Francuza tak zdenerwowała ta niespodziewana wizyta - i właśnie z obawy o życie dziewczyny wyprosił ją z pokoju. Colin powinien być facetowi wdzięczny za tę troskę, zamiast szykować się do ataku.

- Ależ oczywiście! - przytaknął z szerokim uśmiechem Alberto, wreszcie porzucając karykaturalnie włoski akcent. - Nieustannie powtarzam, że prawdziwy łowca z nikim się nie wiąże. Jak to mówią: albo rybki, albo akwarium. Jeśli ktoś marzy o tym, żeby sobie gruchać z żonką i hodować dzieciaki, nie powinien w ogóle...

- Załapałem - przerwał mu ze złością Antoine, choć najwyraźniej po części zgadzał się z Włochem, spod gniewu bowiem przebijało poczucie winy.

Colin sięgnął myślami do wiadomości, jakie Alberto przekazał mu na temat Francuza, kiedy tu jechali. Wściekał się na siebie, że nie słuchał wtedy zbyt uważnie. Jego przeczucie milczało - odkąd postawił stopę na europejskiej ziemi, nie odezwało się ani razu - nie

spodziewał się więc, że te informacje wkrótce nabiorą dla niego wielkiego znaczenia. Gadaniny Włocha jako takiej miał już po dziurki w nosie.

W każdym razie przydługi wywód Alberta sprowadzał się do stwierdzenia, że Antoine, szalenie utalentowany łowca, w zasadzie z dnia na dzień wycofał się z zawodu, ponieważ panienska, z którą swego czasu przelotnie romansował, zmarła niespodzianie, zostawiając mu na głowie cztero- albo pięcioletnią córkę. Włoch z pewnością mówił coś więcej na temat matki Tin, ale Colin nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Zresztą co za różnica. Ona nie była córką Antoine'a, w tej kwestii Colin wyzbył się ostatnich wątpliwości.

– Domyślam się, że nie wyjedziecie stąd, dopóki nie uzyskacie tego, po co przyjechaliście – odezwał się Francuz po chwili uporczywego milczenia. – Nie zawahacie się zniszczyć spokoju mojej córki, byle osiągnąć cel. I nigdy nie nazwałbyś tego szantażem.

– Szantaż? – obruszył się Alberto. – Mocnych używasz słów, przyjacielu.

– Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Czego chcesz?

– Butelki zimnego piwa, na dobry początek – oznajmił z uśmiechem Włoch. – Dla mojego młodego towarzysza także. Przypuszczam, że jemu jeszcze bardziej zaschło w gardle.

– Skończ – warknął Colin.

Natychmiast pożałował swojej reakcji, gdyż z twarzy Alberta spłynął uśmiech, a w jego małych ciemnych oczach zapłonęła wściekłość. Niniejszym Colin dołączył do grona najbardziej godnych pogardy zdrajców, porzucających sprawę dla pary zgrabnych nóg i błękitnego spojrzenia.

Jakim cudem ona miała niebieskie oczy? Cudowna, niespotykana w społeczności barwa. Choć niewykluczone, że jedynie nosiła maskujące soczewki, żeby zmylić łowców na wypadek takiego jak dzisiejsze, niespodziewanego spotkania. Ilu ich się dotąd przewinęło przez dom Antoine'a?

Francuz wrócił z trzema butelkami piwa. Punkt dla Alberta, chociaż Colin nie pojmował sensu tej bitwy. Chyba że znowu chodziło o demonstrację: jeśli Włoch wykazał tyle determinacji w banalnej kwestii piwa, należało przypuszczać, że w zasadniczej sprawie nie cofnie się przed niczym.

Colin przyjął od Antoine'a butelkę orpala, dziękując mu niewyraźnym uśmiechem. Żałował, że nie zdążył się Tin nawet przedstawić; a teraz wróciła do pracy, skąd przyjdzie dopiero po ich wyjeździe... No, ale właściwie to lepiej, bo musiałby użyć imienia Vernon. A wtedy ona tak właśnie by o nim myślała: Vernon, łowca. Antoine niewątpliwie ostrzegął ją przed swymi dawnymi towarzyszami po fachu.

– Vernon! – Poirytowany głos Alberta przywołał Colina do rzeczywistości. – Skup się, do cholery. Te miłostki są zabawne jedynie na krótką metę.

– Gdzie tu jest toaleta? – zapytał Colin, zaskakując tym siebie samego.

\* \* \*

Wezwała go. Nie pojmował, jak tego dokonała, ale szedł do toalety z niezachwianą pewnością, że Tin będzie tam na niego czekać.

Faktycznie czekała, tyle że na zewnątrz, pod oknem, które Colin natychmiast otworzył.

Patrzyli na siebie, trochę jak bliskie sobie osoby, które spotykają się po długiej rozłące. Każdy szczegół jej twarzy jakby odświeżał się w pamięci Colina, znany od dawna, ale rozmyty wskutek upływu czasu.

– Jesteś łowcą? – zapytała z wahaniem.

No tak, oficjalnie nie miała pojęcia o przeszłości ojca, zatem w jej odczuciu już tak proste pytanie wiązało się z ryzykiem.

– Świadomym – odparł Colin.

– Świadomym swych praw i obowiązków? – zażartowała, słyszał jednak przyspieszone bicie jej serca. Wiedziała, teraz już wiedziała.

– Nigdy żadnego nie spotkałaś?

Znał odpowiedź. Wyczuwał jej fascynację, ogromną radość, że wreszcie poznaje kogoś ze swoich. Na moment zrzucił kamuflaż, żeby lepiej się jej zaprezentować.

Zadrgały jej nozdrza, cofnęła się o krok od okna. Zaniepokoił się, że ją przestraszył. Ale nie, tylko zaskoczył. Zmrużyła oczy i przyglądała mu się, przekrzywiwszy nieco głowę. Miała piękne włosy. Długie, lśniące, ciemnokasztanowe. Podobne do włosów Rose, choć tamtymi Colin nigdy się przesadnie nie zachwycał.

– Colin – powiedziała. – Nazywasz się Colin?

– Dla Antoine’a Vernon – odparł bez zdziwienia, że tak łatwo odgadła jego imię. – On nie jest twoim ojcem?

Wolno pokręciła głową.

– Przyjechałeś go zabić? – W jej głosie pojawił się strach.

– Tak się do niego przywiązałaś?

Kochała Antoine'a, ale nie chciał określać w ten sposób relacji między nią a łowcą. Niemniej nie musiała tłumaczyć Colinowi, jak bardzo zraniłaby ją śmierć opiekuna. Właściwie niczego nie musiała mu tłumaczyć...

– Przecież wiesz, że nie – powiedział. – Mimo że... jak się zorientowałaś, trochę mnie zdenerwował.

– Wiem – stwierdziła niepewnie. – Tylko wydaje mi się dziwne... niemożliwe... niesamowite, że bym tak po prostu... – Urwała.

Colinowi także wydawało się niesamowite, że potrafił przewidzieć, co powie Tin. A zarazem odbierał tę sytuację jako najzupełniej naturalną.

– Nie boisz się, że się znudzisz? – zapytała z niepokojem.

– Prędeż tego, że ty się znudzisz.

– Ja to co innego.

I znowu Colin wiedział, o czym ona mówi. Nieistotne, jakich używała sformułowań lub jak niejasno brzmiałyby jej wypowiedź dla osoby postronnej, Colin od razu pojmował, co chciała wyrazić.

Był pierwszym świadomym, jakiego spotkała od czasów dzieciństwa, osnutego zresztą mgłą zapomnienia. Pierwszym przedstawicielem społeczności, której liczebności nawet się nie domyślała, Antoine bowiem, jeśli w ogóle rozmawiał z nią na ten temat, przekazywał jej co najwyżej przekonania łowców: zwierzyna to zaledwie kilka rozproszonych po świecie osobników, skutecznie tępionych przez dzielnych obrońców ludzkości. Colin fascynowałby ją, nawet gdyby był jej obojętny.

Natomiast siebie samą Tin postrzegała jako dziewczynę ze wsi, dzielącą czas między dom, szkołę i sporadyczne spotkania z koleżankami. Mogła opowiedzieć

Colinowi treść interesującego filmu, ale we własnym życiu nie znajdowała niczego, co zasługiwałoby na jego uwagę. Jediną pielęgnowaną przez nią tajemnicę odkrył w chwili, gdy otworzyła drzwi.

– Nie zdudzę się – oświadczył z niezachwianą pewnością Colin. – Nigdy dotąd nie czułem z nikim takiej bliskości. To... ekscytujące.

Powątpiewała w tę deklarację. Rozmawiali zaledwie parę minut, nadal niewiele wiedzieli o sobie nawzajem, tak więc każda kolejna odczytana myśl przynosiła frapujące odkrycie. Jednakże po tygodniu czy dwóch...

– Powinieneś już do nich wracać – powiedziała Tin. Obawiała się wniosków, do których zmierzał Colin. – A ja muszę iść do sklepu, kończy mi się przerwa na lunch.

– Nie zdudzę się – powtórzył. – Powiedz mi jeszcze... – Wychylając się przez okno, przytrzymał ją za ramię, ponieważ już się odwracała. Dotknął jej po raz pierwszy... Cofnął rękę. Na chwilę zapomniał, o co chciał ją zapytać. – Powiedz... to znaczy... muszę wiedzieć... jak to się stało, że się tobą zaopiekował?

Przez jej myśli przemknął strach.

– Zabił twoich rodziców? – Wściekłość narosła w Colinie tak gwałtownie, że przebarwiły mu się oczy.

A Tin przestraszyła się go nie na żarty.

– Nie bój się mnie, do cholery! – warknął.

Buntowniczo przygryzła wargi, podczas gdy Colin usiłował nad sobą zapanować.

– Wychował mnie – oznajmiła po chwili. Twardo, tonem wykluczającym dyskusję. – Jeśli ktokolwiek ma prawo pragnąć zemsty, to tylko ja. A ja rozumiem go, szanuję i kocham, jak ojca. Był łowcą, postąpił tak, jak

uwazał za słuszne. Mnie także mógł zabić, ale tego nie zrobił. Przeciwnie, zaopiekował się mną i pokochał jak własne dziecko.

Colina zalała fala nienawiści do tego skurwysyna. Drań najpierw zastrzelił jej rodziców, a potem odgrywał troskliwego tatusia! Stłamsił Tin, uzależnił od siebie psychicznie, tak że wbrew rozsądkowi uważała go za swego dobroczyńcę. Colin zapragnął ją natychmiast wyzwoić, zatapiając zęby w tym cholernym...

– Przestań! – rzuciła ostro.

Także jej oczy się przebarwiły, tyle że, w przeciwieństwie do Colina, ona nie straciła panowania nad sobą – po prostu sądziła, że takie triki stosuje się w trakcie sporów między przedstawicielami jej rodzaju.

– Cierpisz na syndrom sztokholmski – warknął Colin.

– Nic nie wiesz o moim tacie! Jeśli spróbujesz go tknąć...

– To co? – podchwycił, ponieważ się zawahała. Nigdy więcej się do niego nie odezwie?

Jeszcze zanim wygłosiła to oświadczenie, pojęła, że nie zdoła dotrzymać obietnicy.

– Zranisz mnie – powiedziała, odzyskując spokój. – A ja nigdy ci nie wybaczę. Przy każdym naszym spotkaniu będziesz czytał w moich myślach wyrzut.

W tę zapowiedź Colin uwierzył. Zacisnął zęby. Musiał wrócić do salonu, usiąść naprzeciw tego skur... tego drań, słuchać, jak rozmawia z Albertem.

– Właśnie tak – potwierdziła cicho. – Spuść wodę, zanim stąd wyjdiesz. W salonie to słyszać.

Odwróciła się i odeszła. No, super. Colin przymknął powieki, opierając się dłońmi o okienną framugę. Pierwsza ich rozmowa i od razu kłótnia. Nie chciał,

żeby Tin zapamiętała go jako rzucającego mięsem raptusa, ale nie dała mu szansy na zatarcie złego wrażenia. Wszystko przez tego... Znów zacisnął zęby.

Zamknął okno i kilka razy odetchnął głęboko. W ostatniej chwili przypomniał sobie o spuszczeniu wody.

\* \* \*

Kiedy Colin wrócił do salonu, Alberto akurat relacjonował w skąpych słowach ich wspólną podróż w poszukiwaniu wieści od Dirka. Colin otworzył swoje piwo i usiadł na sofie obok Włocha. Chyba niewiele stracił z rozmowy. Jak długo go nie było?

– Moim zdaniem Dirk nie żyje – obwieścił Alberto. – Przy czym albo sprawa tak go pochłonęła, że zaniedbał pozostawienie dla mnie wskazówek, albo po jego śmierci ktoś oczyścił skrzynki kontaktowe. Tym samym zostałeś ostatnią osobą, która może udzielić mi informacji na temat jego odkryć.

Antoine zmierzył rozmówcę nieprzychylnym spojrzeniem. Wyraźnie cisnęło mu się na usta pytanie, jakim sposobem Alberto go odnalazł, ale nie chciał dawać przeciwnikowi okazji do wygłoszenia protekcyjnego: „Mam swoje sposoby”.

– Nie przyszło ci do głowy, że Dirk po prostu zapomniał zmienić datę wysłania tego SMS-a? – zapytał.

– Ależ przyszło. – Alberto uśmiechnął się serdecznie. – Odrzuciłem jednak takie wyjaśnienie. Dirk nigdy o niczym nie zapominał.

Francuz łyknął piwa. Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, czy nie powinien mimo wszystko udać się po